



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

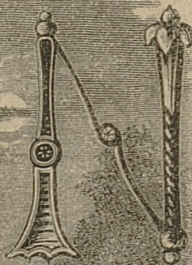
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

W JESIENI.

p. Helenę Bojarstką.



Ilebo się czarną pokryła chmurą
Słońce nie świeci wesoło,
Jakże na świecie smutno, ponuro,
Gdzie tylko spojrzeć w około.
Pozółkły liście, powiędły kwiatki
Niema już krasy i woni,
Wiatr z drzew pozrywał liści ostatki,
Niosąc po polu, po błoni.
Tchnienie jesieni ziemię ostudza,
Białym ją szronem pokrywa,
Wszystko do smutku jakoś pobudza,
I nawet ptaszek nie śpiewa.
Wszystko się boi zimna i cienia,
Wszystko się tuli i chowa,
Cała przyroda postać swą zmienia
Gdy przyjdzie jesień surowa.
Po pustym polu zimny wiatr wieje,
Zmiatając piasek po świecie.
Smutne to, smutne jesieni dzieje:
Wichry... tumany... zamiecie!...

Listy z Warszawy.

Niemąło sobie nad tém nałamałem głowę, jakby to, po tak długiej przerwie, na nowo zręcznie i dowcipnie korespondencyą nawiązać. I jak to często bywa od czasów słynnego jajka Kolumba, dopiero namozoliwszy się porządnie spostrzegłem, że niepotrzebne tu wcale żadne dowcipy, żadne wysilenia, bo jeśli czytelnicy „Wieczorów” zawsze są dla mnie tak życzliwi, jak dawniej, to mi będą radzi, a jeśli przychyłność ich utraciłem, na nic się nie przyda wymowa. Tymczasem liściki, nadchodzące codziennie do redakcyi, zupełnie mię pod tym względem uspokoiły; panienki, a szczerze wyznają (czego mi zapewne szanowni koledzy za złe nie wezmą) że o nie mi głównie chodziło, nie zapomniwały o słudze swoim i korespondencie, zasyłają mi przyjazne pozdrowienia, o zdrowie zapytują i o egzamina także. No, z egzaminami jakoś tam się człowiek nieźle załatwił, niemąło bo i pracy kosztowały. Dla tego to należał mi się dłuższy odpoczynek na wsi, a ponieważ kolega Staś zastępował mię z powszechnym zadowoleniem czytelników, więc użyłem sobie dłuższej swobody. Gdy jednak z letniej wędrowki powróciłem na zimowe leże do Warszawy, pierwszą moją myślą było: coby to ciekawego a nowego donieść czytelnikom „Wieczorów”?

— Co tu u was słycać w mieście? — pytałem zna-

jomych. Ale biedni moi znajomi, którzy lato spędzać musieli na warszawskim bruku, zamiast odpowiadać, mnie znów rozpytywali, co ja tam na wsi porabiałem i wzdychali na samą myśl o lasach cienistych, kwitnących łąkach, szemrzających ruczajach, nie mogli nawet pojąć, aby kogo miało obchodzić to, co się tu w dusznej, zakurzonej Warszawie działo. Ktoś nakoniec przebąknął:

— Żałuj, żeś nie powrócił o kilka dni wcześniej, byłbyś obaczył wystawę ogrodniczą, a było na co patrzeć.

Ach! z pewnością byłoby na co patrzeć i o czém pisać, co dla mnie najważniejszą jest rzeczą, lecz stało się, na wystawę ogrodniczą się spóźniłem.

— Cóż słyhać jeszcze? — pytałem dalej.

— Słyhać dużo o egzaminach w zakładzie pszczelniczym pana Lewickiego — odpowiedziano.

Egzamina! A toż dopiero przedmiot ciekawy do listu! Mielśmy tych egzaminów do syta, i ja i czytelnicy „Wieczorów” już nam one... chciałem dodać: kością w gardle stoją, ale spostrzegłem, że to nie wypada, mogliby ludzie Bóg wie co pomyśleć. Chociaż więc na pierwszą wzmiankę o egzaminach skrzywiłem się trochę, zacząłem potem uważniej się przysłuchiwać i pokazało się, że to rzecz piękna i zajmująca, że nawet warto o tém napisać.

A najpierw, czy wiecie, czytelniczki i czytelnicy, co to jest zakład i muzeum pszczelnicze p. Lewickiego? Wiedzą o tém stali prenumeratorzy naszego Pisma, bo ja sam parę lat temu szeroko się o tém rozpisywałem, lecz dla nowo przybyłych czytelników potrzebne słówko wyjaśnienia. Pan Lewicki, człowiek niestary jeszcze, światły i pracowity, stracił wzrok, jest dziś ociemniałym. Inny na jego miejscu, będąc zamożnym, nie myślałby o niczém, tylko o własnej wygodzie i pędziłby życie beczynne, narzekając na smutny swój los i ciężkie kalectwo. Ale p. Lewicki ręk nie opuścił, pracy się nie wyrzekł, potrafił stać się niezmiernie pożytecznym współrodakom, a zasługi jego wysoko są cenione. Stworzył on, można to śmiało powiedzieć, nowy rodzaj przemysłu w kraju naszym. Do niedawna jeszcze pasieki nie miały w gospodarstwie żadnego znaczenia, trzymano pszczoły, aby mieć trochę miodu i wosku, nic więcej. Pszczołki gospodarowały sobie w ulach, jak same chciały, w końcu jesienią zabierano im pracę całego lata, a nie było tam nigdy tego dużo.

Ale w ostatnich czasach przekonano się, że przemysłne te owady, umiejętnie przez człowieka pokierowane, mogą zupełnie inaczej pracować. Z jednego ula dobry pszczelarz rozmnoży mnóstwo rojów, a w ulepszonych ulach robota idzie tak szybko, tak doskonale, że się z nich otrzymuje bez porównania więcej miodu, aniżeli z dawnych. Książd Dzierżon, Polak, mieszkający w Poznańskim, pierwszy dał pochop do takiego umiejętnego pszczelnictwa. Inni poszli za jego przykładem i dziś we wszystkich krajach zabrano się gorliwie do ulepszania pasiek. U nas zajął się tém p. Lewicki, urządził muzeum pszczelnicze, zebrał tam wzory najrozmaitszych ulów, i hoduje w nich przeróżne odmiany pszczoł, ze wszystkich części świata pochodzące. Oprócz tego założył szkołę, w której tak mężczyźni jak kobiety mogą się w krótkim przeciągu czasu wyuczyć doskonale pszczelnictwa, to jest hodowania pszczoł według najnowszych sposobów. Mnóstwo panien uczy się tej pożytecznej umiejętności, a po ukończeniu kursów zdają egzamina i dostają patenta. Takie panienki dostają potem miejsca bardzo korzystne w majątkach, gdzie

utrzymują duże pasieki, sam czytałem o tém w dziennikach, że niektóre biorą po kilkaset rubli rocznej pensyi. Inne, za możniejsze, zakładają własne pasieki w majątkach rodziców lub krewnych i mają z tego piękne dochody. Jedna Litwinka, panna Maculewiczówna, mieszkająca przy siostrze zamężnej, nietylko intratną ma pasiekę, lecz założyła szkołę pszczelnictwa, uczy w niej sama młodzież wiejską, skarbiąc sobie wdzięczność i uwielbienie powszechne. Wiadomość podana jest w Bluszczu.

Spodziewam się, że czytelnicy, a zwłaszcza czytelniczki „Wieczorów” nie znudziły się mojem opowiadaniem, kto w może niejedna z nich za lat parę, ukończywszy zwykle naukę, przypomni sobie tę gawędę przyjaciela Kazia i sama pasieczniczką zostanie. Wczoraj właśnie wieczorem rozmawiałem o tém wszystkiém u ciotki, która także niedawno z Warszawy powróciła z letniej wycieczki.

— Patrzcież państwo — mówiła ciotka — jak to się cię zmieniły! Gdym ja była młodą panienką, nikomu się nie śniło, żeby pasieką mógł się zajmować ktokolwiek, oprócz starych dziadów, niezdolnych do innej pracy. Taki dziupasiecznik nosił zazwyczaj długą brodę, a że to dawniej rano szenie brody u mężczyzn należało do osobliwości, wszyscy starym rannie się golili, więc nieraz, jeżeli ktoś przez zaniedbanie się ogolił się w porę, to mówiono o nim: wygląda, jak pasiecznik. Ale żeby kto kobietę, młodą panienkę, nazwał pasieczniczką, to nawet i żartem zdarzyć się nigdy nie mogło. A teraz, ktożby w to za moich czasów uwierzył, panienki naprawdę pasieczniczkami!

— I dobrze, i bardzo dobrze — odezwał się wujaszek — dopiero to będzie ślicznie, gdy wiejski właściciel, ojciec kilku córek, doczeka się z jednej porządnej pasieczniczki, z drugiej ogrodniczki, z trzeciej mleczarki. Wtenczas panienki nie będą po całych dniach poziewały i tęskniły za zabawką i rozrywką, jak to dziś zdarza się nieraz.

A ja w tej samej chwili przypomniałem sobie, że razem z nauką pszczelnictwa, na Koszykach, tak się nazywa piękny ogród, w odległej części Warszawy położony, wykłada się także nauka ogrodnictwa dla kobiet. W tém już niema różnicy tak dalece nowego, toż i dawniej panienki lubiły zawsze zajmować się ogródkiem, ale to co innego trudnić się nim umiejętnie i z pożytkiem. Nie będę się jednak nad tym przedmiotem rozpisywał, wiem bowiem, jako wtajemniczony we wszystkie sekreta redakcyjne, że w Pisemku naszym mają być podawane pogadanki ogrodnicze, pisane przez osobę, która właśnie owe kursa ogrodnictwa w Warszawie ukończyła.

Odczytawszy to wszystko, co tu nabazgrałem, zaniepokoiłem się troszkę. A nuż łaskawi czytelnicy i najłaskawsze czytelniczki zaczną noskami kręcić i rzekną; Ej, przyjacielu Kaziu, coś strasznie dziś nudny jesteś, czy nie starzejesz z czasem? Ba! że mi przybyło lat parę, odkiedy z czytelnikami „Wieczorów” te pogawędki prowadzę, to nie żaden sekret, ale jeśli z latami przybyło mi i powagi trochę, to chyba nie jest nic złego. A żeby jednak wiek mój nie odstraszał nikogo, upewniam, że jeszcze mi broda i wąsy nie rosną...

Chciałbym przynajmniej na zakończenie donieść o zabawego i zajmującego. Nie wiem, jakie tam czyje są upodobania, co do mnie, nie znam w Warszawie większej przyjemności w chwilach wolnych od zajęć szkolnych, nad wycieczką do zoologicznego ogrodu. Pisałem już o tym ogrodzie, niedawno założonym w naszym mieście, teraz jednak muszę do

łać, że przybyło do niego dużo zwierząt rzadkich i osobliwych. Jest już naprzykład jaguar, są kangury i wiele innych stworzeń, z różnych części świata pochodzących. Nigdy nie namawiam nikogo na żadne zbytki i wydatki niepotrzebne, niech mię Bóg broni od tego. Ale ze spokojnym sumieniem mogę doradzać wszystkim kolegom, w Warszawie mieszkającym, a i paniom także, aby często odwiedzali ten piękny ogród. Nie jest to wcale przyjemność zbyt kowna, bilet wejścia niedużo kosztuje, a dla nas uczących się bilety są odstępowane za cenę zniżoną.

Nie potrzebuję zapewne dowodzić tym wszystkim, którzy się uczą zoologii, ile to korzyści się odnosi, oglądając na własne oczy różne zamorskie zwierzęta. Żaden rysunek, choćby najpiękniejszy, nie może dać tak dokładnego wyobrażenia, jak kaz żyjący. Ogród zoologiczny jest prawdziwym dobrodziejstwem dla naszego miasta, a założyciele jego wielką mają zasługę. Nie są to jednak magnaci, ci założyciele, nie mieli wielkich funduszów, gdy przedsięwzięcie to podjęli, lecz mułeli zbierać na to składki. Teraz zaś utrzymanie ogrodu, wszelkie ulepszenia, a nadewszystko sprowadzanie większej ilości zwierząt, wszystko to zależy od nas. Tak, upewniam was, czytelnicy, jeżeli młodzież zacznie tłumnie uczęszczać do ogrodu, składając drobne kwoty za opłacenie biletów, uzbiera się fundusz dostateczny, można będzie z łatwością zabezpieczyć byt tych wszystkich zwierząt, których widok tyle nam sprawia uciechy i tyle korzyści przynosi, a oprócz tego sproadzić mnóstwo innych. Wzywam zatem wszystkich kolegów i wszystkie paniuki, czytujące „Wieczory” do spełnienia tego obywatelskiego czynu, bo dla czegożby młodzież obywatelskich czynów spełniać nie miała?

Gdyby tu był obecnie w Warszawie kochany mój krewny przyjaciel Janek P. nie potrzebowałbym go długo do tego namawiać. Był on na wiosnę w Warszawie, przyjechał ze stron dalekich, bawił tydzień przeszło, ale ani jednego dnia nie opuścił, ażeby się nie obaczył z pocziwym słoniem i uciemiemi małpkami. Pierwszy raz w życiu był w większym mieście, jest też tu wiele innych rzeczy do widzenia, nic go jednak tak nie zajmowało, jak ogród zoologiczny. I nic dziwnego, bo też to bardzo porządny jest chłopak, ten Janek, ogę mu śmiało oddać tę sprawiedliwość. Obecnie przebywa w obczyźnie, ale i tam odbiera „Wieczory” zapewne więc przyjemnością przypomni sobie, czytając te słowa, ulubiony swój ogród zoologiczny i doda od siebie: Dobrze mówi Kazio, w całej Warszawie niema nic piękniejszego od tego ogrodu. Każdy porządny uczeń powinien przez cały tydzień skłaniać dyskę do dyski, i co niedziela zafundować sobie bilet.

Ale ja tu gadu gadu, a w redakcyi gderać będą, że jestem za długi; muszę więc kończyć, polecając się życzliwości waszym redaktorom i czytelnikom,

serdeczny przyjaciel

Kazio.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki**.

(Dalszy ciąg).

gdyś musiała być ładną, dziś ślady tego zostały w pięknych ciemnych oczach, które mimo przyémionego nieco blasku miały wyraz rozumny i pełen słodczy. Przez jakie koleje musiała przechodzić w młodych latach, jakie bóle i cierpienia szarpały to biedne serce, domyślać się można było po białych prawie już zupełnie włosach i głębokiej między brwiami fałdzie, co przerzynałaforemne i piękne dziś jeszcze czoło. Mimo swobody i spokoju, jaki się malował na jej twarzy, miała coś smętnego w uśmiechu, w układzie ust, patrząc na nią, przychodziła myśl, że młodość jej w niezbyt zapewne szczęśliwych i łatwych upływała warunkach.

Czy może nie znała ona wcale młodości? Może młodość ta mijała dla niej niepostrzeżenie, może nie miała czasu myśleć o niej, może nie miała czasu rachować lat swoich. Że młodość ta upływała znacznie i szlachetnie, to było jasno wypisane na twarzy i w spojrzeniu tej niewiasty.

Jedynym dziecięciem tych znacznych ludzi była Lena, czyli Helena, imię to otrzymała na pamiątkę babki, której pamięć pani Z. ceniła głęboko.

Lenka była pieszczoną jedynaczką, ojciec kochał ją do słabości prawie, nie byłby w stanie nic jej odmówić, nie umiałby jej nic zganić, był pobłażliwym i nie widzącym nic złego w swém dziecku. Cały ciężar wychowania spoczywał na matce, która chociaż niemniej od ojca kochała dziewczynkę, umiała jednak zapanować nad swą miłością, i skarcić nieraz rozpieszczone dziecko. Lenka rzadko jednak potrzebowała napomnienia, odziedziczyła po rodzicach wszystkie ich cnoty. A jak też miłowała tych rodziców, ubóstwiała ich prawie. W jej oczach matenka była świętą, tatuś taką doskonałością, takim ideałem w jej młodziutkiej wyobraźni, że nawet przez myśl jej nie przyszło porównać tego tatusia z kimkolwiek. Kochała bardzo, bardzo, jednego z wujaszków, ten ukochany wujaszek był także z nikim nieporównany, ale gdzież tam, do tatusia było mu jeszcze bardzo daleko. Jedną ciocię kochała także bardzo, ta ciocia jest śliczna, ma takie piękne czarne oczy, taka wesoła i dobra, a jak kocha Lenkę, jak ją pieści, nic a nic nie mniej od rodziców. Dziewczynka szalenie kocha tę ciocię, ale nawet ta ukochana ciocia nie wytrzyma porównania z matenką.

Dodać wypada, że doktor Z. jest mającym, z działu po rodzicach otrzymał dość znaczny spadek, a tyloletnia praca przy oszczędności i życiu skromnym, choć dostatniem, podwoiła kapitał. Piękna duża kamienica jest jego własnością, kilkanaście tysięcy rubli gotówką dają mu możność czynienia dobrze. Ile razy poratował cierpiącego, ile razy wyrwał nędzy biedaka, którego niedość że leczył i dostarczał mu lekarstwa darmo, ale jeszcze po przyjsciu do zdrowia dawał możność pracy, która mu zabezpieczała byt i przyszłość, mawiał do żony z wesołym uśmiechem:

— To dla naszej Leny, duszko; błogosławieństwo ludzkie da jej szczęście w życiu, bo ani jedna łza nieotarta nie ciąży na mém sumieniu.

W takięj to cichęj atmosferze spokoju i zgody wzrastała Lenka, nie znając złych ludzi, nie wiedząc prawie, czy zło istnieje na świecie. Po tém krótkim zboczeniu, wracamy do rozmowy ojca ze swą jedynaczką.

— Hanka jej na imię, mówisz, tatusiu — rzekła Lenka — to bardzo ładne imię; a tej drugięj?

— Terenia; lecz widzę, że będziesz pytała o wszystkie, piwem ci więc odrazu, że jest jeszcze Jadwisia i Ewcia, Janek i Kazio.

— To dobrze, tatusiu, zapamiętam to sobie, bo mi się koniecznie zdaje, że ja się poznam z niemi niezadługo; nie wiem skąd ja wiem o tém, ale wiem na pewno jednak. Jadwisia ma już u mnie łaskę, lubię ją, tak jej na imię jak mojęj kochanej p. Jadwidze; tatuś wie, że ja bardzo kocham pannę Jadwigę — szczebiotała dziewczynka, pieszcząc kochanego swego tatusia.

* * *

Panna Jadwiga Wrześniewska jest córką wdowy po urzędniku; w dzieciennych jeszcze latach straciła ojca, a matka przy szczupłej dosyć emeryturze musiała dużo pracować, aby

Żona jego była najzaciejszą i najlepszą towarzyszką tak odnego męża, miała lat czterdzieści parę, znać było, że nie-

wychować i kształcić troje pozostałych sierot. Ale pracy męźnej i niestrudzonej niewiasty Pan Bóg dopomagał; najstarszy syn, będąc wzorowym uczniem, dostał się na stypendyum, Jadwisia ucześnie na pensyę, której przełożona była koleżanką i przyjaciółką jej matki, uczyła się dobrze, najwięcej jednak poświęcała się muzyce, do której miała wielkie zdolności, i w nią upatrywała w przyszłości swe utrzymanie i pomoc dla kochanej matki, pragnęła bowiem dla niej wypoczynku i wygody za jej niezmordowaną pracę.

Najmłodsza Tola, wątła i słabowita od urodzenia, była garbatą i brzydką, bardzo nawet brzydką. Niedosyć dla biedaczki było garbu, jeszcze ospa zesześciła drobną twarzyczkę, tylko oczy, śliczne, niebieskie oczy, w które się matka wpatrywała z zachwytem, gdy małeńka jeszcze dziecina zaczęła się rozglądać i patrzeć rozumnie w około siebie, pozostała ciemną i jedynym wdziękiem biednej dziewczynki. Kochali ją wszyscy bardzo, pieścili i dogadzali, ile możności, aby jej wynagrodzić niejako, że tak pokrzywdzoną została od natury. Ież też wylała biedna Tola, gdy chodząc na pensyę usłyszała nieraz, jak koleżanki wyśmiewały jej garb i brzydotę. Nie oskarżała jednak nigdy przed matką ani siostrą złych i nieszlachetnych dziewcząt, zwykle tylko dnia tego była bardzo smutną, a klękając do wieczornego pacierza, ukrywała zeszeconą twarzyczkę w pościeli i płakała cicho i boleśnie, długo, bardzo długo.

Matka, i dobra, kochająca Jadwisia, widząc smutek dziewczynki, zdwajały pieśczoły, starały się dla niej o jaką przyjemność, a Tola, spostrzegłszy to ich usiłowanie, otrząsała się z gnębiącego ją smutku, przywoływała uśmiech na blade, wąskie usta, i westchnąwszy z cicha, starała się być wesołą i swobodną. Tola była pierwszą uczennicą na pensyi, miała ogromne zdolności, bystry i łatwo obejmujący umysł, a że w nauce znajdowała zapomnienie wszystkich przykrości życia, oddawała się jej z zapałem, z gorączkową niemal chciwością chwyciła książki, i w nich tonęła duszą całą. Między koleżankami nie znalazła ani jednej przyjaciółki, gdy raz usłyszała, jak ją wyśmiewało kilka panienek, stała się nieufną i podejrzliwą względem wszystkich, trzymała się od nich z daleka, a jeżeli która niebaczną, zbyt głośno wypowiadała jakiś niegodny żarcik i Tola go musiała usłyszeć, nie odpowiadała zwykle ani słowa, w pogardliwym milczeniu zacinęła usta, i tylko długie, wymowne spojrzenie swych pięknych oczu zatrzymywała na dowcipnej koleżance.

W chwili gdy wchodzimy do skromnego, choć porządnie umeblowanego mieszkania pani Wrześniewskiej, Tola tylko co wróciła z pensyi i składa książki i zeszyty na swoim stoliku. Na twarzy jej widać smutek i zniechęcenie, obie ręce z gorączkowym niepokojem przekładają książki, jakby dla nich nie mogły znaleźć odpowiedniego dziś miejsca. Matka, zajęta jakąś robotą, siedzi przy oknie, jedno spojrzenie na dziewczynkę dało jej poznać, że w duszy córki jakaś tajemna stacza się walka. Trwało to dość długą chwilę, matka milczała, udając, że nie widzi pomieszania dziecka; wiedziała z doświadczenia, że w takich razach najdrażliwszym było dla dziewczynki wszelkie wypytywanie, gdyż przymuszona do mówienia, wybuchała gwałtownym, spazmatycznym płaczem, wyrzucała tysiące skarg i żalów, i długo uspokoić się nie mogła. Niebadana, przychodziła wkrótce do spokoju i równowagi umysłu, a smutek i zniechęcenie prędko mijały.

I teraz się tak stało, gorączkowe ruchy dziewczęcia coraz były spokojniejsze, gorzki wyraz twarzy ustępował uśmiechowi rezygnacyi, i Tola była znów wesołą i swobodną.

Położywszy ostatnią książkę, zwróciła się do matki z zapytaniem:

— Czy Jadwinia nie była tu dziś, mateńko, wracając z lekcyi od państwa Z.? Dziś czwartek, zwykle następną godzinę ma wolną.

— Nie, kochanko, nie wiem dla czego dziś nie przyszła, teraz nie wróci już aż o czwartę. Jakże tam lekcye ci poszły dzisiaj? — dodała po chwili zwykle swe codzienne pytanie.

— Dobrze, mateczko — odpowiedziała obojętnie — muszę iść dobrze dla tych, którzy chcą pracować i pracują.

— Boję się, żebyś nie pracowała zbyt mocno, wymierzejesz mi bardzo, a i tak nie jesteś zbyt silną i zdrową.

— O! niech mateczka będzie spokojna, nic mi się nie stanie, zdaje mi się, że mam żelazne zdrowie — mówiła z lekką goryczą w głosie.

(d. c. n.)

WUJASZEK AMBROŻY.

ZE WSPOMNIENIŃ MOJÉJ MŁODOŚCI.

Nieraz zdarzało mi się słyszeć, jak młodzież, niezadowolona ze swego losu, powtarza z westchnieniem: „Czemu to ja nie jestem na miejscu tego a tego, czemu moi rodzice nie są tacy bogaci, nie mogą mi dostarczyć różnych przyjemności, których ktoś tam używa do syta, czemu to, czemu owo, nie mnie się dostało”. Ba! żebyż to tylko młodzież, i starym nie raz się to zdarza. Kiedyś, przed laty i ja nielepszy byłem od innych; nigdy nie zapomnę, jak mądrego sposobu użył mój zany wujaszek Ambroży, panie święć nad jego duszą, abymie od tego szkodliwego nałogu odzwyczaić.

Dawno to było, bardzo dawno, dziś ja sam już jestem, nie tylko wujaszkiem, ale i dziaduniem, dla nauki też wnuków moich postanowiłem spisać te wspomnienia. Rodzice odumarli mnie małym dzieckiem, nie zostawiając mi żadnego majątku. Na szczęście rodzony brat matki mojej, nieodżałowana pamięci wujaszek Ambroży, zajął się mną z ojcowską troskliwością. Nie miał on własnych dzieci, był starym kawalerem, a z powołania nauczycielem, jak dawniej nazywano, gwernerem, trudnił się wychowaniem młodzieży w domach zaможnych. Gdy doszedłem do tego wieku, że już mogłem rozpocząć systematyczną naukę, wujaszek Ambroży przebywał w Topolinie, u hrabiostwa T., jako wychowawca jedynego iedyna syna Romana, o rok starszego odemnie. Był tam wysoko ceniony i poważany, gdy więc oświadczył, że nadal pozostać może tylko w takim razie, jeżeli mu wolno będzie zabrać do siebie siostrzeńca i uczyć go razem z młodym Romanem, hrabiostwo oboje przystali na to chętnie, a nawet bardzo byli radzi, bo oddawna życzyli sobie dla syna towarzysza i współzawodnika w naukach.

Byli to państwo zani i rozumni, kochali jedynaka, ale gnie psuli, to też Romaś był najpocziwszy w świecie chłopak wujaszka Ambrożego niezmiernie kochał i szanował, a ze mną odrazu serdecznie się zaprzyjaźnił. W Topolinie nie był nadzwyczajnych zbytków, zawsze jednak był to dom, a raczej prawdziwy pałac magnacki, widać tam było wszędzie dostatek, nawet przepych, a Romaś przywykł od dzieciństwa do rozmaitych rozrywek i przyjemności, o których ja wyobrażenia nie miałem.

Dzieliłem też z nim nietylko naukę, ale i zabawę, a zabawa ta nie była nigdy bezmyślna i nieużyteczna, lecz także umiejętnie dobrana i do wzmocnienia sił fizycznych zastosowana przedewszystkiem. Odbywaliśmy ćwiczenia gimnastyczne na świeżem powietrzu, grywaliśmy w różne gry, wyrabiające zręczność i siłę, uczyliśmy się pływać i jeździć konno. Przebyłem lat kilka w Topolinie; gdyśmy wyrosli obaj na dużych, dzielnych chłopaków, fechtowaliśmy się, strzelali do celu i polowali, a miał Romaś wyborną broń, sfory chartów i gończych, ja zaś używałem tego wszystkiego zupełnie na równi z nim, bez żadnej różnicy.

Pókim był małym dzieckiem, nigdy o tej różnicy pomiędzy nami nie pomyślałem, później jednak, wyznając, nieraz w głębi duszy mojej odzywało się mimowolne uczucie przykrości, gdy Romaś wesoło podawał mi swoją strzelbę, gwizdał na swojego psa, wołał na swego masztalera. Nie mogłem się obronić natrętnym myśłem, że to wielkie szczęście być bogatym, mieć piękne konie, piękne psy, broń kosztowną i tylé innych rozkoszy, a czasem, czasem, z piersi mojej wyrывało się westchnienie i głos jakiś, jak osa naprzykrzona brzęczał w uszach: cze

mu ja nie jestem na miejscu Romasia, czemu to wszystko nie moje? Jeden ma tak wiele, drugi tak mało!

Były to myśli mimowolne, a miałem tyle rozsądku, że starałem się je przytłumić, nigdy też nie wydałem się z nimi przed wujaszkiem Ambrozym. Czy on je odgadł? Dziś przekonany jestem, że tak, bo wujaszek wielkim był znawcą serc ludzkich w ogóle, a serc młodzieży w szczególności. Nigdy jednak ani słówkiem nie zdradził, że przeczuwa, co się dzieje

umiał zawsze wynaleźć jakiś zajmujący przedmiot rozmowy i w godzinach rekreacji stawał się raczej wesołym towarzyszem naszym, niż poważnym nauczycielem.

— Janku, przynieś strzelby z pokoju — rzekł do mnie Romaś — może jaką zwierzynę spotkamy po drodze.

Pobiegłem po strzelby, gwizdnąłem na ślicznego wyłta Neptuna i po chwili wyruszyliśmy wesoło przez wieś, zdążając do pobliskiego lasu. Udało mi się zastrzelić jakieś biedne



Strzelaliśmy do celu i polowali (str. 356).

w mojej duszy, widocznie czekał sposobności i nadarzyła się wkrótce, a ja przypisywałem wszystko przypadkowi, zbiegowi okoliczności, daleko później dopiero zrozumiałem, jak to on mądrze i przezornie tym zbiegiem okoliczności pokierował.

— Czy nie macie ochoty pójść ze mną na przechadzkę? — zapytał wujaszek Ambroży pewnej niedzieli popołudniu, gdyśmy obaj z Romasiem chodzili po obszernym dziedzińcu pałacowym, rozmyślając, czémby to się zabawić.

— O, dobrze, dobrze — zawołał Romaś i ja z nim, bo lubiliśmy bardzo te przechadzki z wujem Ambrozym, który

ptaszę, które przytroczyłem sobie tryumfalnie do paska, Romaś spudłował, więc podzartowywałem sobie z niego, potem wujaszek zaczął coś ciekawego opowiadać, nie spostrzegliśmy nawet, że poprowadził nas z powrotem inną drogą, aż gdyśmy się zbliżyli do plebanii.

— Wiecie co, chłopcy — rzekł wujaszek Ambroży — możebyśmy wstąpili do proboszcza. Ja mam mu oddać dzienniki, zabrałem je właśnie z sobą, a wy spełnicie prawdziwie miłosierny uczynek, jeśli chwilkę czasu spędzicie z synowcem jego Michasiem, który właśnie wczoraj przyjechał ze Lwowa.

— Przyjechał już Michaś! — zawołał Romaś — biedny chłopiec! alez musimy go odwiedzić koniecznie.

Przed kilku dniami właśnie ksiądz proboszcz był w pałacu na herbacie i opowiadał nam o tym swoim synowcu, cokolwiek od nas obu starszym, który był od dzieciństwa niezmiernie wątłego zdrowia, teraz po jakiejś gorączce stracił zupełnie władzę w nogach, musiał siedzieć przez cały dzień na fotelu, a lekarze nie robili nadziei, aby mógł się z tego uleczyć, kazali mu tylko wyjechać na świeże powietrze i dla tego to proboszcz zabrał go do siebie.

Weszliśmy na plebanią, proboszcz staruszek rad nam był niezmiernie, a gdyśmy zapytali o Michasia, wskazał drzwi od ogrodu, mówiąc:

— Wynieśliśmy tam biedaka z fotelem, jeśli powietrze ma mu cokolwiek ulgi przynieść, niechże go używa o ile tylko można.

Smutny to był widok. Chłopczyna błądy, mizerny, daleko mniejszy i szczuplejszy odemnie i Romasia, chociaż trochę od nas obu starszy, siedział, a raczej leżał bezwładnie na dużym fotelu, wychudłymi rękami przewracał kartki jakiejś książki z rycinami. Gdy nas obaczył, lekki rumieniec ożywił twarz jego wybladłą, nawet uśmiech pojawił się na ustach; bo też Romaś, mający bardzo dobre serce, przywitał go jak najserdeczniej, odrazu nazwał go imieniem, prosząc, by i jego tak nazywał, przypomniał, że się kiedyś dziećmi już widzieli i bawili razem. Ze mną znajomość związała się równie prędko, zaczęliśmy więc rozmawiać, jak trzech dawnych przyjaciół. Wuj Ambroży odszedł dalej z proboszczem.

Michaś się ożywił, rozweselił, opowiadał nam o tém, co czytał, Romaś, mający bogatą bibliotekę dla młodzieży, obiecał mu przysłać kilka nowych książek. Nakoniec biedny kaleka zwrócił uwagę na nasze strzelby, któreśmy ustawili pod drzewem, spostrzegł ptaszka przy moim boku, prosił, żebym mu strzelbę dał do ręki. Ledwo ją mógł podnieść, po chwili, obejrawszy, oddał mi ją i przytém westchnął tak ciężko, że i mnie serce się ścisnęło. Spojrzałem na Michasia, łza zakręciła się w jego oku i stoczyła się po wybladłej twarzy; otarł ją szybko, jakby się chciał ukryć przed nami ze swoim smutkiem, próbował coś obojętnego powiedzieć.

— Co tobie, Michasiu? — spytałem, mimowolnym uczuciem wiedziony — ty masz łzy w oczach, co ci jest?

— Co mi jest? — powtórzył z wyrazem głębokiej boleści — patrzysz na mnie i pytasz, co mi jest. Czy może być nieszczęśliwsza odemnie istota? Gdy widzę innych chłopców w moim wieku, silnych, zdrowych, was obu naprzykład, i porównam siebie do was... o, jacy wy jesteście szczęśliwi!

Czy wiecie, co mnie najwięcej uderzyło w tych słowach biednego Michasia? Oto, że mówił razem o nas obu, o mnie i Romasiu, obu nas szczęśliwym nazywał, nie robił między nami różnicy. Zazdrościł nam zdrowia i sił, nie myślał wcale o bogactwie Romasia, a i ja w tej chwili, rzecz dziwna, czułem daleko wyraźniej tę różnicę, która istniała pomiędzy mną i nieszczęśliwym kaleką, nie pragnąłem być na miejscu bogatego panicza, lecz dziękowałem w duszy Bogu, że nie jestem na miejscu Michasia...

Wszystcyśmy umilkli na chwilę, Romaś nawet, zawsze śmiały i przytomny, nie mógł jakoś zdobyć się na słowa pociechy, gdy wtém usłyszeliśmy głos wuja Ambrożego, który niepostrzeżenie zbliżył się do nas:

— Ksiądz proboszcza wezwali do chorego — rzekł — ale nie potrzebujecie się śpieszyć, posiedzimy tu jeszcze z Michasiem, rozweselimy go trochę, bo coś widzę, że się zasmucił. Słyszałem, mój chłopcze, coś tu mówił przed chwilą, wyobrażasz sobie, że niema na świecie nieszczęśliwszej od ciebie istoty.

— Czyliż tak nie jest? — szepnął biedny chłopiec.

— Nie, Michasiu — mówił wuj Ambroży, biorąc go za rękę i siadając na stołku obok fotela chorego — nie, tak nie jest, są daleko nieszczęśliwsi od ciebie. Cierpisz, to prawda, cierpisz dotkliwie, ale otoczony jesteś wygodami, opieką najtroskliwszą; gdyś miał gorączkę, dobra matka czuwała dzień i noc nad tobą, teraz znów stryj proboszcz wszelkich starań

dokłada, aby ci ulgę przynieść. Masz książki, możesz więc w czytaniu przyjemną znaleźć rozrywkę i towarzystwa ci nie braknie; a pomyślnie, czy mało jest na świecie nieszczęśliwych chorych i kalek, którzy cierpieć muszą w nędzy i niedostatku?

— Ach, to prawda — rzekł Michaś i twarz jego ożywiła się nagle — stryjasek taki dobry dla mnie, to on pewnie zaprosił Romasia i Janka, żeby mnie odwiedzili; tak mi czas mile z nimi schodzi. O, to prawda, pan słusznie mówi, że są nieszczęśliwsi odemnie. Ja sam, pamiętam, gdym był zdrow jeszcze, zaszedłem z mateczką na jakieś poddasze we Lwowie; leżała tam chora dziewczyna w takiej strasznej nędzy, sama jedna, bo matka jej nie żyła, a ojciec chodził na cały dzień na robotę, do mularki. Mama przyniosła jej trochę rosółu, ach! nigdy nie zapomnę, jak ona chciwie piła, potem prosiła mamy, żeby dzbanek z wodą przysunęła do jej łóżka, bo ojciec o tém zapomniał, a ona strasznie ma pragnienie. O, prawda, prawda, są nieszczęśliwsi odemnie.

— I ja widziałem niedawno istotę najstraszniejszą nędzą dotkniętą — mówił wuj Ambroży — wyobraźcie sobie, byłem przed tygodniem w powiatowym mieście, stanąłem w gospodzie, w sieniach ujrzałem żandarmów, zapytałem, co tam robią? Powiedziano mi, że odprowadzają do więzienia młodego, szesnastoletniego chłopca, który dopuścił się strasznego występku; dopomagał zbójcom w podpaleniu domu, w rabunku i morderstwie. Chciałem go obaczyć, zakuty w dyby siedział na wozie. Straszny to był widok! Twarz miał wybladłą, zczerniałą, błędnym wzrokiem rzucał dokoła, widocznie uśpione w chwili szalu sumienie teraz ozwało się w nim z całą siłą, bo gdym przemówił do niego łagodnie, lży rzewne go oblały. Dowiedziałem się ze słów jego urywanych, że był sierotą od dzieciństwa, daleki jakiś krewny, łotr i zbójca, wziął go w opiekę i zaprawiał do zbrodni. A jednak na dnie tej duszy zbłąkanej tliły jakieś iskry lepszych uczuć, spostrzegłem w nim żal szczerzy, widziałem, że cierpiał strasznie. Patrząc na niego, nie powiedziałbyś, Michasiu, że jesteś nieszczęśliwym, mając skarb najdroższy na świecie, spokojne sumienie.

— O, dziękuję panu — rzekł Michaś, ściskając serdecznie rękę wuja Ambrożego — pan mi otworzył oczy; teraz już nigdy nie będę narzekał i mówił, że jestem nieszczęśliwy.

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy też naprawdę wujasek w tej chwili spojrzał na mnie z ukosa, a ja, niewiedzieć dla czego, poczerwieniałem.

— Ej, bo to każdy człowiek takie już ma niemądre przyzwyczajenie, że innym, szczęśliwszym zazdrości — odezwał się Romaś z uśmiechem — a o nieszczęśliwszych nie pamięta. Ja sam nieraz myślałem sobie: czemu to ja nie jestem na miejscu Adasia P. jaki on szczęśliwy, że co rok jeździ z rodzicami zagranicę, do Włoch, do Paryża, okrętem nawet podróż odbywał; a ja nigdy jeszcze z kraju nie wyjeżdżałem i nie widziałem żadnego większego miasta.

— Ach, Romasiu! — wyrwało mi się z ust mimowoli — i ty mogłeś komukolwiek zazdrościć, ty!

— No, żebym tak naprawdę aż zazdrościł, to nie — odezwał się śmiejąc się — ale nieraz sobie myślałem, dla czego ten Adaś szczęśliwszy odemnie? A były to, jak teraz widzę, nieporęczne myśli, bo iluż to jest chłopców mniej daleko szczęśliwych niż ja, którzy mnie mogliby pozazdrościć.

Spuściłem wzrok i usta zagryzłem, lecz wnet spojrzałem znów śmiało prosto w oczy Romasiowi, nie chciałem mu się dać ubiedz w otwartości.

— Ja pierwszy — rzekłem wesoło — nie zazdrościłem ci wprawdzie na sery, ale nieraz sobie pomyślałem o tobie to, co ty o Adasiu P. a przecież i ja także nie mogę się liczyć do nieszczęśliwych, w porównaniu do innych jestem bardzo, bardzo szczęśliwy.

— Otóż to widzicie, chłopcy — mówił wujasek Ambroży z dobrodusznym swoim uśmiechem — to jest właśnie cała filozofia życia, mądrość największa, być zadowolnionym z tego, co mamy. Szczęścia zupełnego niema na świecie, ale i nieszczęścia zupełnego nie tyle, ile sobie wyobrażamy; życie na-

ze składa się ze światła i cieniów, trzeba tylko od światła nie dwracać oczu, a zawsze je znajdziemy, zwłaszcza, gdy je prawdziwą ciemnością porównamy. Człowiek nigdy nie może być zadowolony ze swego losu, w naturze to jest ludzkiej, gdyż duch nieśmiertelny tęskni do wiekuiściej szczęśliwości. Ale względne szczęście doczesne od nas samych zależy. Ażeby je osiągnąć, przedewszystkiem, gdy los bliźnich naszych wydaje się nam szczęśliwszym od naszego, nie dopuszczajmy nigdy do siebie tej myśli: Ach! czemu ja nie jestem na ich miejscu! Pamiętajmy, że i oni mają swoją część cierpienia i tym świecie; zwracajmy raczej oczy na tych, którzy są od nas nieszczęśliwsi, a gdy współczucie dla nich zbudzi się w sercu naszym, w innym świetle ujrzymy położenie własne.

Na tém skończył wujaszek Ambroży, zwrócił rozmowę na inny przedmiot, bo nie lubił prawić morałów, a nauka dla nas wszystkich była dostateczna. Przesiedzieliśmy z Michałem, aż póki proboszcz nie powrócił. Staruszek ucieszył się niezmiernie, ujrawszy, jak Michaś ożywiony, wesóły, z błyszczącymi oczyma z nami rozmawiał. Dziękował nam serdecznie, szczególnie Romasiowi i mnie, nie domyślał się bowiem, że zacy wuj Ambroży więcej daleko od nas przyczynił się do tego.

Od tego czasu minęło lat wiele, życie moje nie z samych światła się składało, nieraz w niem nawet przeważały cienie, lecz w najcięższych chwilach znajdowałem zawsze pociechę, przypominając sobie słowa wujaszka Ambrożego: „Znajdziecie zawsze światło, gdy je porównacie z prawdziwą ciemnością”.

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Otóż to! i ja nie wiem! i to mię trapi! — krzyknął Chrypka, w stół uderzając.

— Ja ci powiem: oddaj ty staręj choć wnuki, to jęj zgryzoty uspokoi i nie będzie o marnotrawnicę dbała; wszak dniem i nocą wnuczęt woła.

— O ty, barania głowo! czyliż więć myślisz, że i my o marnotrawnicę dbamy, nie zaś o dzieci, które dziedziczą landgrafostwo? tych dzieci matka nie chce od siebie puścić, a książę Henryk zakazał gwałtu, i słusznie, bo lud mógłby się oburzyć. Potrzeba to wszystko cicho umorzyć powoli, byle stara księżna Zofia nie przeszkadzała.

— To dać jęj choć jedno, nie chłopca, który dziedziczy, lecz dziewczynę i to tę słabowitą, którą babka najmniej lubi, wiesz, tę drugą Zofią, niechaj ją ma, to mniej będzie dbała o resztę.

— Możeby to i uspokoiło starą, która szaleje, ale matka nie da małej.

— To ją wykraść pocichu! — zawołał karzeł, któremu nagle zabłysnęła nadzieja uratowania Zosi od powolnego zamorzenia.

— Matka nie da!

— Ej, głupstwo, mała mię lubi, nieraz dawniej targała mię za włosy, tak jak swego ulubionego kota i raz tylko jeden w życiu nazwała mię Potworą; gdybym ja na nią zawołał, to sama przyszłaby do mnie do drzwi czy do okna, a ja bym ją pochwycił i uciekł.

— I nikt, ani sam książę nawet nie mógłby nas posądzać o wykradzenie chorego dziecka, które przecież nie dziedziczy... trzymałoby się ją skrycie na zamku ku uciesze staręj babki, możeby to i uspokoiło starą... — rozmyślał Chrypka półgłosem. Phil aż drżał ze strachu, żeby Chrypka nie zmienił teraz zdania, aż ten rzecze:

— No, pokazuje się, że nawet taka obrzydliwa żaba, jak ty, może się czasem przydać. Zróbże to, jeżeli możesz, wykradnij tę trzecią z rzędu dziewczynę, ale tak, żeby nawet sama nasza straż o tém nie wiedziała. Jeżeli tego dokażesz, dam ci...

— Sto dukatów! — poderwał karzeł, a oczy mu gniewem zabłysły.

Chrypka zaniósł się śmiechem na to przypomnienie oszustwa.

— Nie chcę tak! — mówił Phil, udając, że się targuje, choć gotów był darmo wykraść Zosię.

— No, nie, nie, na ten raz dostaniesz nową suknię, bo tę już widzę zniszczyłeś, łotrze! — mówił Chrypka i targowali się, aż się zgodzili. Phil wypytał, które okno należy do izby księżnej w owym pałacu, zażądał, aby mu dwóch wiernych jak najwyższych drabów oddano najzupełniej na rozkazy, aby mógł na plecach jednego dostać się do okna a drugiemu Zosię podać, gdy ją pochwyci, i otrzymawszy to, czego żądał, udał się o samęj północy do Eisenach.

XV.

Trzy pomyłki.

Ów tak zwany pałac, a w rzeczywistości dom warowny, stał trochę za miastem i był pilnie strzeżony u drzwi i wszystkich wyjść możliwych, ale od strony ogrodu, gdzie w grubym murze było małe okienko, jakim człowiek dorosły żadną miarą przesunąć się nie mógł, nie było czego pilnować. Po za tém okienkiem cztery książęce sierotki, nie bardzo głodne jeszcze dnia tego, bo pożywione u księdza, drżały z zimna i tuliły się do siebie, nie śpiąc a szcękając zębami, gdyż wilgotne mury kamienne stokrój gorsze były, niż drewniany chlewek nawet. Dzwon zabrzmiał na jutrznią o północy i zrozpaczona matka, napróżno usiłująca rozgrzać dzieci własnym ciałem, wybiegła za drzwi ciasnej izdebki do drugiey takiej samęj i rzuciła się na kolana, łkając ciężko, a drzwi od dzieci przymknawszy, aby biedactwa próżno jękami nie straszyc. Straż stała u drzwi tej drugiey izby, ale jęki nie przeszkadzały straży. Wtém drzące dzieci usłyszały nad główkami jakiś szelest i głos bardzo cichy wyszeptał:

— Zosiu! Zosiu!...

Czworo sierotek porwało się na nogi. Słyszały one rozmowę matki z księdzem, powiadomionym przez Phila o zamiarach wiernych przyjaciół, chcących ratować dzieci; wiedziały, że mają być skrycie z miasta przed strażą uwiezione i że aby ocalały, powinny zachować się cicho i posłusznie. Ale nie rozumiały wcale tego, że uwięzieniem ich w warownym pałacu zniweczono ułożone plany. To też teraz, usyszawszy głos Phila i szelest przecinanej w oknie błony, zastępującej szybę, pewne były, że wszystko czworo powinny uciekać oknem.

Nieszczęście przyśpiesza niezmiernie rozwój umysłu u dzieci, to też nietylko troje starszych, ale nawet małe Gertruda wiedziała w tej chwili, że powinna być cicho i czynić, co starsi każą, aby uciec od nieszczęścia; prawda, że matka tłómaczyła jęj to długo dnia tego.

— Przychodzą dobrzy ludzie po nas, a matka poszła do kościoła, co tu robić? — pytały się wzajem biedne dziatki, nie wiedząc, że matka nawet do kościoła wyjść nie mogła z więzienia.

Matka przygotowała je na to rozstanie, zapewniając, że wkrótce za niemi podąży, więc gotowe były dać się zabrać od nięj, ale sądziły, że do ostatniey chwili będzie z niemi i teraz nie wiedziały, co czynić, skupiwszy się w głębokiej framudze pod małym okienkiem.

— Zosiu, landgrafówno Zosiu! — szeptał karzeł.

— Jestem tu, Philu, ale matki niema! — szepnęła Zosia, poznając głos.

— To niech ci rodzeństwo pomoże wdrapać się tu do okienka; kiedy ja tu się prawie mieszcę, choć mi okrutnie ciasno, to i ty się zmieścisz; pójdz, podaj mi rączkę i ani pi-

śnij, jak cię brać będę, wszak słyszałaś, co matka wam mówiła — rozkazała karzeł.

— Idź! idź prędzej — mówiły pomagając jej dwoje starszych dzieci, pewne, że pójdą za Zosią i rozumiejąc doskonale, że trzeba bez matki sobie radzić.

— Jdę! — szepnęła Zosia i próbując muru spostrzegła, że wejść będzie łatwo do niskiego okienka po grubych, wystających ceglach, więc obracając się do rodzeństwa, rzekła:

— Wejść ja, i wy potem wejdziecie, ale jak wejdzie Gertruda małeńka, skoro matki niema? — Dwoje starszych spojrzęło na siebie:

— To ja ją podam, a sam pójdę ostatni! — powiedział landgraf Herman i rozstawił się pod oknem, jak kolos rodyjski, ku tém potężniejszemu dźwiganiu; był on istotnie duży i tęgi chłopak, ale... miał lat sześć.

— Nie dasz rady Gertrudzie, my wszystko troje zaledwo potrafimy jej pomódz, Gertruda musi iść pierwsza — rzekła najstarsza z dzieci, Zofia. W chwilę później Phil ujrzał wśród ciemności w głębokiem okienku ukazującą się główkę, owiniętą białą chustą, był to kawałek książęcej zastony, którą podarłszy księżna poowijała nią od zimna główki swych dzieci. Phil mały, ale dość silny karzeł, wyciągnął z trudem dziecko z okienka, stojąc sam na ramionach ogromnego jak olbrzym draba z bandy najemnej, który go trzymał za nogi. Dopiero podając dziecko drugiemu dużemu drabowi, stojącemu obok, Phil zauważył, że mała była zbyt małą... spojrzął jej zblizka w oczki pod chustkę i zaklął z cicha:

— Postaw na ziemi i czekaj dalej! — rzekł do draba, a sam do siebie mruknął:

— To pomyłka! — i wsunawszy znów głowę w okienko, szeptał:

— Zosiu! Zosiu landgrafówno! pójdz ty teraz!

— Idę! — szepnęła Zosia i już idąc istotnie, przypomniała sobie, co mówiła matka, zapowiadając porządek ucieczki, aby z nią dzieci oswoić, że najstarsza Zofia pójdzie pierwsza... Matce prawdopodobnie chodziło o to, że najstarsza, torując drogę młodszym, potrafi najłatwiej radzić sobie w razie jakiego nieprzewidzianego wypadku. Ale dzieci nie rozumiały tej przyczyny, że zaś były wychowane w wzorowem posłuszeństwie, zatem gdy Zosia przypomniała wolę matki, Zofia najstarsza weszła natychmiast po murze ku oknu.

Na ten raz karłowi było bardzo łatwo, dopóki Zofia miała mur za punkt oparcia i radziła sobie sama, dopiero gdy zawisła mu na rękach, spostrzegł, że była za duża na Zosię:

— Druga pomyłka! — mruknął sam do siebie, oddając ją żołnierzowi z ponurym rozkazem, aby postawił dziecko na ziemi i czekał jeszcze.

— Zosiu! landgrafówno Zosiu! a pójdzże! — wołał znów cicho w oknie.

— Hermanie! — rzecze nagle Zosia przerażona, załamując rączki — ja się zapomniałam, ja wam źle powiedziałam! matka nie mówiła chyba, aby my dziewczyny szły pierwsze, bo przecież ty jesteś landgraf Herman II-gi i ty musisz zawsze mieć wszędzie pierwsze miejsce w Turynii!

— Ależ to tylko w rzeczach etykiety dworskiej tak jest i na uroczystościach, gdy rzecz idzie o moję książęcą godność, i na placu boju, gdzie obowiązek rycerski pierszeństwo mi daje, jako wdowowi! — pocieszał Herman strapioną siostrę.

— To idź choć teraz pierwszy, aby matka nie powiedziała, iż ja nie umiem trzymać się na swoim miejscu! — prosiła małą księżniczka.

— Trzecia pomyłka! — jęknął karzeł, ugiąwszy się pod dużym chłopakiem. A kiedy w chwilę później, trzymając Zosię prawdziwą za rączkę, stanął i sam na ziemi, to stał jak słup, ani wiedząc, co ma zrobić ze swemi trzema pomyłkami. Aż wtém nagle uderzył się pięścią w czoło, mrużąc:

— O, jakież ja głupi osieł, żeby się też martwić, gdy zrobiło się samo to, co dziś rano naprózno zrobić pragnąłem! — I kazawszy swoim dwóm podkomendnym wziąć po dwoje dzieci na ręce i owinąć je jak najszczelniej płaszczami, podążył z nimi za Eisenach. Straże stały gęsto, ale dwaj żołnierze, niosący jakieś ciężary, wiedzieli hasło i mieli surowy rozkaz od samego Chrypki ślepo wypełniać przez tę noc rozkazy karła Phila i bronić go w razie niebezpieczeństwa. To też o świcie czworo dzieci Ludwika turynskiego jechało już każde w inną bezpieczną stronę, daleko od zaburzonej Turynii, pod opieką rodzicielskich przyjaciół.

(d. c. n.)

SZARADA (Magnolia).

Moje *pierwsze* jest przyimkiem.
Drugie trzecie nie zaimkiem,
 Lecz przedmiotem do ważenia,
 Który nigdy się nie zmienia.
Wszystko przymiot jest rycerzy,
 A także dzielnej młodzieży.

Łamigłówka liczbowa.

(Dla panien Chomętowskich od Słowika).

Z 7 liter nazwisko poety. Przystawiając litery, otrzymamy:

- 1, 2, 3, Pieśni.
- 1, 4, Zaimek.
- 1, 2, Przyimek.
- 4, 5, 6, Przysłówek.
- 2, 1, Przyimek.
- 4, 5, 7, Zaimek.
- 4, 1, Spójnik.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43 go.

Szarady:

Ko — ma — ry.

Łamigłówki zgłoskowej:

Kap — Antyle -- Norfolk — Taiti — Oregon — Nankin.
 Kanton — Pekin.

TREŚĆ: W jesieni, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Listy z Warszawy. — Prawdziwe bogactwo przez autorkę Rejzki (c. d.) — Wujaszek Ambroży (z drzew.) — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Hipopotam (z drzew.) — On i ona wiersz, p. Ludwika Niemojowskiego. Czarni ludzie p. Z. Morawską. — Fartuszek. — Co Zys i Janusia robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów, ogłoszenie i sprostowanie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, z niemieckiego.

HIPOPOTAM.

Wszystkie mateczki na całym świecie kochają swoją dżiawę, u zwierząt tak samo, jak u ludzi. Tak to już Pan Bóg urządził, On to dał matkom tę wielką miłość, bo inaczej niedołążne malcy nie dałyby sobie rady i zginąłby musiały. Drapieżna samica tygrysa, lwa, wilka, najczuliej się obchodzi ze swojemi małemi, pieści je i tuli tak zupełnie, jak gołąbka swoje pisklęta. Oto widzicie na obrazku, jak pani hipopotama niesie na grzbiecie hipopotamiątko. Oboje nie są wcale ładni, a jednak trudno jest patrzeć bez rozrzewnienia na tę kochającą matkę. Onaby się dała zabić prędej, aniżeliby pozwoliła krzywdę zrobić swojemu maleństwu, które jej się pewnie wydaje najładniejszym stworzeniem na całym świecie.



Hipopotam.

Hipopotam jest to wyraz grecki, znaczy koń rzeczny. Zwierzę to jednak, jak sami widzicie, ociężałe, niezgrabne, wcale do zwinnego i pięknego konia nie jest podobne. Nogi ma grube, jak u słonia, a takie krótkie, że chodząc brzuchem prawie ziemi dotyka, pysk duży, jakby opuchnięty, skórę nadzwyczaj grubą. Dlatego też hipopotam zaliczony jest do rzędu zwierząt gruboskórnych, do których także i słoń należy. Żyje on w klimacie gorącym, w Afryce, ciągle przesiaduje w rzekach, pływa doskonale, pomimo swój ociężałości, lubi też zagrzebywać się w błocie. Hipopotam żywi się roślinami, zjada wodorosty, a nocą zwykle wychodzi na brzeg i pasie się na trawie. Murzyni polują zawzięcie na te zwierzęta, mięso ich jedzą, bardzo lubią szczególnie słoninę, która ma być podobna do wieprzowej. Hipopotam ma kły duże i grube, chociaż ukrywają się zupełnie w ogromnej jego paszczy, kość z nich jest równie piękna i biała, jak kość słoniowa.

ON I ONA.

Poznali się w ogrodzie o wieczornój porze,
Na placu, obok ławki pod akacją wielką;
On ma już rok dziesiąty, ona osiem może,

Jego zowią Zdzisławkiem, a ją zaś Amelką.
I odtąd się bawili bardzo często społem
Przy bonie, która na nich wciąż zwracała oko,
Czy to grą w komóreczki, czy piłką, czy kołem,
Czy wreszcie balonikiem, co wzlata wysoko.
On podbiegłszy do ławki pierwszy ją zagadnie:
„Chce się bawić panienka?” ona na to szczerze,
Kładąc lalkę do wózka i dygnawszy ładnie,
Odpowie krótkim słowem: „będę, kawalerze!”
Czasem biega do wody, lecz wstrzymani w pędzie,
Przystają pod zieloną baryerką na krótko
I karnią pływające po stawie łabędzie,
Ona ciastkiem drożdżowem, on bułki ośrodką.
Czasami, umęczeni różnych zabaw znojem,
Siądą sobie odetchnąć społem na ławeczce
I tam odpoczywając pod kasztanów zwojem,
Czytają jaką słiczną powieść lub bajeczkę;
Czasem, kiedy nadchodzi chwila podwieczorku,
A wiecie, że ta pora jest jedzenia hasłem,
On przerzuca kieszenie, ona szuka w worku
I częstują się ciastkiem albo bułką z masłem.
Raz panny ją prosiły do zabawy w liska,
Gry, w której jedna goni a druga ucieka;
On usiadłszy na stronie nie podchodzi z bliska,
Lecz tylko na igraszki te patrzy z daleka.
Nagle jakiś swawolny i niegrzeczny chłopiec,
(Takich zaś rozpustników u nas jest niemało)
Podburzony przez drugich, chcąc dziewczątkom dopiec,
Wpada w koło i mięsza im zabawę całą.
Porwie się Zdzis z ławeczki, pobiegnie w tę stronę
I zawoła: „tak robić to niegrzeczność wielka!...
Psoćnik w nogi, a wdzięczna za daną obronę:
„Dzięki ci, kawalerze!... wyszepnie Amelka.
Dnia innego, gdy znowu wciąż razem igrali,
Znikło w chmurach słoneczko, co tak ładnie świeci,
Zamroczyło się niebo wśród deszczowej fali,
A bona zawołała: „Czas do domu, dzieci!”
Cóż robić? trzeba słuchać — więc chociaż zmartwione,
Rozpoczętą zabawę porzuciły społem
I każde podążyło w inną miasta stronę:
Ona z cichą łzą w oczach, on z spuszczoneń czołem.
Tak im dzionki, olśnione jasnym słońca blaskiem,
Płynęły, z rzadka tylko zaćmione przez chmurki,
A oni się bawili wciąż w Ogrodzie Saskim,
To w piłeczkę, to w obręcz, to wreszcie w komórki.
Przyroda się jesienną pokryła powłoką,
Minął czas letnich feryj, rozkoszny, wesoły,
Każde z nich iść musiało, wostchnawszy głęboko:
Ona na swoją pensyę a on zaś do szkoły.
Odtąd pracą zajęci pamiętali na to,
Aby żadnej przy trudzie nie marnować chwili,
I w końcu zapomnieli, jak przez całe lato
Znakomicie się w Saskim Ogrodzie bawili;
A kiedy w trudach przejdą te dziesięć miesięcy,
Za to, że przy nauce dni spędzali całe,
Nie myśląc o chwil zbiegłych igraszce dziecięcój,
On otrzyma nagrodę — a ona pochwałę.

Ludwik Niemojowski.

CZARNI LUDZIE.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Czarni skacząc okazywali przybyszom swą radość i przyjaźń, pytając na migi, po co noszą ubranie. Potem zaś za-

częli pokazywać, że to pewnie dla tego biali są odziani, bo im wstyd, że mają takie białe ciało. Gdy tak nasi przybysze wchodzili w przyjaźń z mieszkańcami wyspy, ujrzeni nagle powracającą dziewczynę, która przed chwilą odeszła z lusterkiem i czerwoną tasiemką. Dźwigała ona na głowie wielką dynię. Gdy ją zdjęła, okazało się, że to nie była dynia, lecz naczynie, z nięj zrobione, a w niem pełno złotego piasku. Z wielką dumą dziewczyna wysypała piasek w stóp podróżnych i znów pobiegła w tę samą stronę, z której przyszła. Czarni zaczęli śmiać się i pokazywać na nią, że nie ma rozumu i piasek do zabawki przyniosła podróżnym. Lecz każdy z nich chciał się nowym przyjaciołom czemkolwiek przysłużyć, rozbiegli się więc w różne strony, a potem powrócili z darami. Jeden więc przyniósł piękną matę uplecioną z korzeni, drugi owoce podobne do wiśni z pestką na zewnątrz; trzeci skórę z węża wysuszoną na słońcu, czwarty zabite zwierzę, zwane kangurem, piąty ptaka, kazuarem zwanego lub czarnego łabędzia, a wszystko składali podróżnym, okazując im swą wdzięczność za otrzymane dary. Podróżni jednak z niczego nie byli tak zadowoleni, jak z podarunku owęj dziewczyny.

Zaprzyjaźnili się więc z czarnymi, pozostali na wyspie a dziewczyna zaprowadziła ich na takie miejsca, gdzie piasku złotego było bardzo dużo. Biali, bawiąc się z nią i obdarzając coraz nowymi świecidełkami, gromadzili złoty piasek i myśleli tylko o tém, jakby dać znać do swego kraju, że oni tutaj znaleźli takie bogactwa. Tymczasem chcieli czarnych cywilizować, to jest nauczyć rozmaitych rzemiosł, przyzwyczaić do porządnęj uprawy roli i noszenia ubrania, lecz murzyni utrzymywali, że im tak lepiej żyć jak dawniej, a ubrania nosić nie chcieli, pokazując, że mają ładną czarną skórę, nie potrzebując jęj więc okrywać.

Nareszcie szczęśliwym trafem do wyspy Australii przybył okręt angielski, wysłany właśnie na odnalezienie rozbitków. Biali ucieszyli się bardzo, zabrali ze sobą dużo złotego piasku, a nawet i złota, już oczyszczonego i odpłynęli do Europy. Czarni bardzo ich żalowali a nawet puścić nie chcieli, bo ci pierwsi przybysze dobrze się z nimi obchodzili, pomagając w pracy; lecz biali zostawili im broń, wszelkie narzędzia i obiecali, że niedługo powrócą.

Powrócili też rzeczywiście, a nawet przypłynęło z nimi kilka innych okrętów, z których wysiadło dużo ludzi i zajęli pobrzeża wyspy. Zbudowali miasto Sydney. Później dużo innych miast na wybrzeżach powstało, zaczęto uprawiać rolę, sadzić drzewa, których bardzo wiele sprowadzono z Europy, a które tam pięknie się bardzo rozrastają.

— A cóż się stało z tymi czarnymi ludźmi, co poprzednio w Australii mieszkali? — zapytała Józia.

— Czarni ludzie, czyli murzyni australscy, moja Józiu — mówiła dalej Julcia — mieszkają w samym środku wyspy i tak jak z początku nie chcą uczyć się żadnych rzemiosł lub przyzwyczaić do uprawy roli; inni zaś, którzy chętnie nauczyli się wielu rzeczy od Europejczyków, mieszkają w tych miastach nadbrzeżnych. Najbardziej urodzajną jest część Australii, zwana Wiktoryą albo Australią szczęśliwą. Sieją tam dużo zboża, uprawiają winogrona, hodują owce z bardzo delikatną wełną, a że w bliskości są niewielkie rzeki i strumienie, płuczą więc w nich piasek, zabierając z niego złoto. Ze zaś Melbourne, główne miasto Australii szczęśliwéj, jest zbudowane nad morzem, przybywają tam okręty z Europy, przywożą rozmaite towary, a zabierają wino, wełnę cienką z owies i wypłukane czyli oczyszczone złoto. W téj Australii szczęśliwéj płynie także rzeka Murray, a są i góry, z których jeden wierzchołek nazywa się górą Kościuszki.

— Kościuszko, Kościuszko — powtarzał Adaś — a to przecież jeden z naszych wodzów nazywał się Kościuszko.

— A tak — powtórzyła mu Julcia — i na jego cześć, ktoś z naszych rodaków nadał taką nazwę górze?

— Jakto, to tam są i Polacy? — zapytała Józia?

— A tak, moja Józiu — mówiła siostra — do Australii jeżdże dużo ludzi z Europy; są tam więc i Polacy, najwięcej jednak jest Anglików i Niemców...

— A po co oni tam jeżdżą? — pytała dziewczynka.

— Jedni jadą dla nauki, inni chcą się z bogacić — tłómaczyła Julcia. — Bo trzeba wam wiedzieć, że oprócz owego złotego piasku, Australia ma jeszcze inne bogactwa; a że jest duża, nie znają jęj jeszcze całej, więc coraz to nowe jakieś skarby i bogactwa na nięj odkrywają.

— A czy to w bliskości Australii niema więcej takich wysp? — zapytał Adaś.

— Takich wielkich, jak Australia, niema nigdzie w bliskości — mówiła dalej Julcia — lecz na całym oceanie Wielkim czyli Spokojnym jest bardzo dużo wysp, mających klimat łagodny i piękną bardzo roślinność. W bliskości zaś Australii jest wyspa Van Diemen, zwana także Tasmania, gdzie również mieszkają ludzie czarni, tego samego pochodzenia co i w Australii, a na wyspie Nowej Zelandyi rośnie ziele, dające przedziwo, które przywożą do Europy i wyrabiają z niego bardzo piękne tkaniny. Na północ Australii jest wyspa Nowa Gwinea, gdzie żyją ludzie jeszcze brzydsi od czarnych murzynów, zwani Papuasami. Ci Papuasi nie chcą wcale się cywilizować i żyją zupełnie dziko; a że na Gwinei klimat jest bardzo gorący i niezdrowy, więc Europejczycy nie często tam zaglądną. Chyba czasami przypłyną, aby upolować pięknego ptaka rajskiego, który ma przepyszny, różnokolorowy ogon i piękne bardzo od czuba zwieszające się pióra.

— Ach! jakbym ja to chciała mieć takiego rajskiego ptaka — zawołała Józia — zarazbym ustroiła nim kapelusze mojęj lalki.

— Moja droga, gdybyś go przypięła do swojej własnéj główki, tobyś się cała prawie schowała. Ale teraz to najlepiej będzie, wyslij Adasia na upolowanie rajskiego ptaka, a sama zabaw się lalką — rzekła śmiejąc się Julcia.

— Czy nam już nigdy nie opowiesz o czarnych ludziach? — zapytał Adaś.

— Opowiem innym razem, a teraz bawcie się sami — odpowiedziała siostra i wyszła z pokoju. A Józia tymczasem wzięła kołderkę lalki, zawiązała ją sobie na plecach, włożyła w nią lalki i biegła po pokoju udając, że ucieka z dziećmi przed niebezpieczeństwem. Adaś gonił ją z małą fuzijką lub łukiem, z którego od czasu do czasu strzelał, nie szkodząc jednak ani lalkom, ani Józii.

FARTUSZEK.

Głośny gwar i śmiech dzieci rozlegał się w sali jadalnéj, ale bo też mają uciechę nie lada; dziś imieniny cioci, która mieszka o mil kilka, a że dzieci mają do nięj z rodzicami pojechać, postanowiono więc bardzo rano wstać, aby zrobić cioci niespodziankę wczesném przybyciem. Właśnie jedzą śpiesznie śniadanie, a bona i niania wiele mają kłopotu z upilnowaniem świeżości sukienek, opatrują każde z dzieci fartuszkami i serwetą. Lecz cóż to widzę za rozprawa tam na drugim końcu stołu? Oto milutka dziewczynka, wiekiem druga z rzędu, stroi minki i nie chce włożyć fartuszka, odpowiada bonie uparcie, że jest za duża na to, że będzie uważać na siebie i nie poplami ubrania.

W końcu bona odchodzi do młodszych dzieci, a my zostaliśmy przy Kostusi, aby się z nią bliżej zapoznać, a mianowicie, aby powiedzieć od razu to, do czego zmierzamy, oto, że była... nieporządną i miała bardzo brzydki zwyczaj ocierania rączek o suknie, zamiast o serwetę; nieraz już miała z tego powodu przykrości.

Wtém usłyszały dzieci trzask z bata i dano znak do wyjazdu; wszyscy zerwali się od stołu, a Kostusia w pośpiechu położyła nieotarte rączki na swojej ślicznęj, białęj alpagowęj sukience, którą dziś właśnie po raz pierwszy włożyła. Natychmiast z przerażeniem spostrzegła, co zrobiła, i pobiegła z płaczem do boni, która starała się zatrzeć dwie tłuste plamy. Lecz napróżno, brzydkie ślady rąk za nic nie chcą

ustąpić, a Kostusia po raz setny przekonywa się, jak to źle być nieporządną i upartą.

Dobra bona nie przypomina jój nawet, że gdyby jój była usłuchała, to fartuszek a nie sukienka byłby ucierpiał, ale Kostusia i sama to dobrze rozumie. Już wszyscy ubrani, wsiadają i mają jechać, Mama Kostusi woła, lecz spostrzegłszy plamy na sukience, oświadcza, że jój nie zabierze; prośby nic nie pomagają, gdyż Mama postanowiła ukarać nieporządną dziewczynkę.

I tak rodzice z rodzeństwem odjechali, będzie tam tak wesoło u téj dobrej cioci, tyle będzie gości, tyle łakoci... O jaka szkoda, że Kostusia nie pojechała! Lecz nie, to dobrze, ta nauczka jój się przyda, już nie będzie nieporządną i upartą.

Ukrainka na Mazowszu.

CO ZYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babcі, przyjechawszy do niój ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

Więc najprzód przed samą bramą Saskiego ogrodu jest cały ogromny las, ustawiony z gałęzi choinek, uciętych i usadzonych w maleńkich ogródeczkach i ozdobionych mnóstwem kolorowych wstążek. Dalej wszystko na sprzedaż dla dzieci, stoją domy, kościoły, ogrody, konie, lalki, całe stada bydła (na stołach ogromnych i w sklepach), myszy, króliki, koty, psy, zające, każde odzywające się właściwym głosem, po przyściśnieniu sprężyny. Ogromne stopy owoców wszelkiego rodzaju, no... jedném słowem jest tam w tym tygodniu przedświątecznym tyle prześlicznych i przeróżnych zabawek i przysmaków, stosami czekających nabywców, że kto kupować nie może, to lepiej, żeby już tam nie chodził i nie patrzył... bo oczy bolą patrzeć.

Zygmus i Janusia przecież innego byli zdania. Ochłonawszy z pierwszego zdumienia, powiedzieli oni Cioci, że jeżeli wszystkiego nie mogą sobie zakupić, to trzeba się przynajmniej napatrzeć tym prześlicznym rzeczom. Ciotka na to przystała i przez cały prawie dzień dzieci chodziły pomiędzy zabawkami, przypatrując się i napatrzeć nie mogąc i stanowczo utrzymując, że żadne skarby na świecie na zakupienie tego wszystkiego nie mogłyby wystarczyć. Zapomniano nawet o jedzeniu z wielkiego zachwytu i nie miano prawie czasu zająć się szczerze ciasteczkami, których Ciocia kupiła na posiłek w starój i słynnej dawniej piekarni przy ulicy Żabiój, w pobliżu targu.

Wróciły dzieci do domu dopiero o zmierzchu i z takim uniesieniem zaczęły na wycięgi opowiadać co widziały, że aż Babcia uszy zatkała przed tym zachwytem, bo głowa mogła od krzykliwych opowiadań zabołec. Nazajutrz musiała Ciotka iść za interesem do drukarni, ale mimo to wzięła dzieci z sobą. Trzeba było przechodzić przez znaczną część Warszawy. Więc znowu koło sklepów, przepelnionych ozdobnymi świecicłami, zabawkami, strojami i wśród powozów, wiozących choinki i obok cukierniczych wystaw, w których znów takie prześliczne rzeczy stoją z cukru wyrobione, że dzieci, pierwszy raz to zobaczywszy, aż krzyzcć zaczęły z podziwu, a potem zawstyżone, rękami już zatykały usta, przechodząc koło cukierni. A wtém, wszedłszy do drukarni, odrazu znowu z dumienia w nowe zdumienie wpadając, osłupiały i zapomnieli o wszystkiém, co dotąd widziały na Bożym świecie.

Drukarnia była to ogromna, zakopcona sala, brudna dosyć i zastawiona gęsto czemś wielce podobném do czarnych biurków do pisania. Przy każdym biurku stał robotnik, zwany zecer i wyjmując z przegródek w owém biurku małe ołowiane

litery, układał je w pewnym rodzaju szufladki, którą w ręce trzymał. Ale tak umiejętnie układał, że z nich tworzyły się wyrazy i wiersze, które posmarowane czernidłem i przyciśnięte do papieru, odbijają na nim różne piękne powiastki, bajeczki i „Wieczory” i inne książki i druki. Każdy zecer ma przed sobą na swoim biurku arkusz zapisany, na który patrząc, układa litery wedle tego, co na arkuszu autor powiastki napisał.

Tymczasem przez wielkie drzwi otwarte widać było dalszy szereg sal wielkich, pełnych huczających, ruszających się, obracających i jęczących maszyn ogromnych, sięgających aż do sufitu, do których strach się zbliżać niewprawnemu, bo te żelazne przyrządy straszliwe mogą łatwo urwać rękę lub nogę człowiekowi. Tam w tych maszynach odbijają się na papierze druki, ułożone wprzód przez zecerów. Zecerzy byli to bardzo grzeci ludzie; widząc zdumienie dzieci, podczas gdy Ciotka rozmawiała z właścicielem drukarni, oni tłumaczyli dzieciom, jak się to drukują książki i pisma, ale malcy nie wiele z tego zrozumieli, czemu nie trzeba się dziwić, bo to nie jest bardzo łatwe do zrozumienia. Nagle Zygmus odskoczył, przeląkłszy się czegoś, co się poruszyło pod najbliższém biurkiem, ale zawstydził się natychmiast, poznawszy po chwili, że tam siedziało trzech małych chłopaków, mniejszych doprawdy od niego, a zajętych, jak się zdawało, pilną jakąś robotą. Zygmus i Janusia aż przykucnęły na podłodze, przypatrując się tym chłopcom tak dziwnie umieszczonym.

— Co wy tam robicie, chłopczyki? — spytał Zys.

— Układamy litery — odpowiedzieli. — Jednemu panu zecerowi przypadkiem rozsypały się już ułożone i pomieszane. Przeto on musi układać na nowo inne litery, biorąc je z tych przedziłek, które ma przed sobą, a my musimy pomieszane tamte uporządkować i złożyć napowrót do takich właśnie przegródek jak te, z których panowie zecerzy je biorą. Trzeba zaś porządkować tak, żeby w każdej przegródce były inne litery, w jednej same *a* w drugiej same *b* i tak dalej przez wszystkie litery abecadła, małe i duże.

Tak tłumaczyli chłopcy swoją robotę, a Zys i Janusia słuchali z roztwartemi przez zapomnienie i z podziwu ustami.

— Ale po cóż wy pod tym stołem, czy jak się to nazywa, siedzicie? — zapytał wreszcie Zygmus.

— Ej, to tylko tak sobie — rozśmiali się mali pracownicy — my tak sobie tu usiedli dla tego, żeby w drukarni mieć kąć spokojny, gdzie już nikt nas nie potrąci i nie udepce przez nieuwagę, ale przecież wiemy, że tak ludzie naprawdę nie siedają... tylko pieski.

I śmieli się chłopcy swawolniki z podziwu dzieci dobrze wychowanych, które myślały, że to koniecznie już oni musieli pod tym stołem czy biurkiem siedzieć przy swój robocie. A wtém zawołała Ciocia na dzieci i trzeba było wyjść z drukarni. Wyszyły tedy dzieci, ale takie zajęte tēm, co widziały, że jeszcze bardziej trzeba je było trzymać za ręce, żeby z wielkiego zajęcia drukarnią nie zginęły albo pod konie się nie dostały, bo nawet zapominały Cioci się pilnować. Dopiero gdy zaprowadziwszy je przed księgarnię jakąś, Ciocia rzekła:

— Patrzcie, co tu książek na Gwiazdkę, a wszystkie wydrukowano takim sposobem, na jakiście patrzyli... — wtedy dopiero przestały dzieci o drukarni rozmawiać i myśleć, a zajęły się książkami.

Weszli do księgarni, bo Ciocia kupowała książki dla służących na wieś, kalendarze, elementarze, książki do nabożeństwa, ale dla Zysia i Janusi nie kupiła nic, co ich trochę nieprzyjemnie zdziwiło i zmartwiło nawet, bo przykro było pomyśleć, żeby też Ciocia, obdarzając wiejskie dzieci, zapomniła o swoich małych siostrzeńcach... Nigdy się to nawet jeszcze nie zdarzyło, więc nie wiedzieć co było o tēm myśleć. Dzieci spoglądały po sobie, szeptały trochę z sobą i nareszcie zgodziły się na jedno, że Ciotka naprawdę po raz pierwszy o nich zapomniła.

(d. c. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

(Dla pańien Chomętowskich od Słowika).

W 9 podziałkach ułożyć: 4 A — 1 D — 1 G — 2 N — 1 S aby odczytać w obu kierunkach: 1. Rzeka. 2. Wojownik turecki. 3. Przyimek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Homonimów:

Waza, naczynie stołowe i Waza, nazwisko rodu królewskiego, z którego pochodził Zygmunt III.

Łamigłówki kryształowej:

M
 Ł O Ś
 M O T Y L
 R Y Ś
 L

Skrzynka do listów.

Iskierka (z Konar) już teraz zapewne zrozumiała, że mamy inną korespondentkę, pisującą pod tym samym pseudonimem i sądzimy, że zadowolona być musi z poprzedniej odpowiedzi. Ale cóż to za szczególniey zbieg okoliczności, że obie Iskierki się pochorowały? Tamta donosiła dzięki Bogu, iż przyszła już do zdrowia, czekamy i od drugiej pomyślniejszej wiadomości.

Wiochnie dziękujemy za nadesłane łamigłówki, prosimy tylko o doniesienie, z czego jest wyjęty wierszyk w zadaniu konikowem, bo sobie tego przypomnieć nie możemy.

Firletce białej serdecznie przesyłamy podziękowanie w imieniu biednych dzieci, które tak hojnie wspomaga i to z własnych, pracą i pilnością zarobionych pieniędzy. Siostrzyczka Anielcia bardzo dobrze robi, że idzie także za tym pięknym przykładem. W liściku było marek więcej, niż napisano, bo za 1 rs. kop. 12, wszystko oddano ubogiej dziewczynce. Aurykla ma lat 12, nazywa się Zosia, siostrzyczka jej Trawka, o rok młodsza, ma na imię Helcia. Ale czemu to my dotąd nie wiemy, jakie jest imię prawdziwe Firletki i ile ma lat?

Ewcia R. ucieszyła nas bardzo swoim liścikiem, bo sądziliśmy, że już zapomniała o nas. Przyjemnie to dla nas, że Mały książę z tak wielkim zapalem był czytany, ale Mama słuszność ma zupełną: nie trzeba przebierać miary w niczem, nawet i w czytaniu. Powiastka nie ucieknie, a dziewczynki dla zdrowia potrzebują ruchu. Dziękujemy kochanej Ewci za opisanie tej ślicznej miejscowości nad morzem, gdzie lato spędziła. Niedziw, że jej się nie chciało pisać, patrząc na te widoki i przechadzając się po takim ładnym lasku. Łamigłówka z wielkim naszym żalem nie może być wydrukowana, bo nazwisko króla Michała pisze się Wiśniowiecki, (z Wiśniowca) a nie Wiszniowiecki. Trzeba także uważać, przy układaniu łamigłówek, żeby nie dawać litery *é* zamiast *e*, ani *s* zamiast *ś*. Niech tylko Ewcia zada sobie troszkę pracy, a ułoży inną, lepszą łamigłówkę.

Dzieciot bardzo słusznie robi, że nie traci czasu na częste i długie liściki, mając tyle zajęć szkolnych, nie możemy mu tego mieć za złe. Łamigłówka jest dobrze ułożona, ale jakież znaczenie mogą mieć te dwa imiona, które się odczytują z liter początkowych i końcowych?

Sosenka wie dobrze, iż nigdy nie mamy za złe kochanym korespondentom, jeśli dla zajęć ważniejszych opóźnią się z pisaniem.

Chociaż te liściki wielką nam sprawiają przyjemność, wiemy jednak, że tylko chwile wolne od nauk mogą być na to poświęcone. Konwalia z pod Lublina nazywa się Natalcia a latek ma tyleż, co Sosenka.

Koliberek śliczną kaligrafią napisał swoje rozwiązanie, odgadł też trafnie nazwisko, lecz przypisuje owemu mężowi dostojęństwa, jakich on nigdy nie piastował. Zkądże to Koliberek mógł zaczerpnąć tak dziwnych wiadomości?

Słowiczкови dziękuje kolega Kazio za miły liścik i donosi, że lato spędził na wypoczynku, nie miał żadnych przygód, któreby na opisanie zasługiwały, prosi jednak bardzo kolegi Słowiczka, aby mu o swoich wędrówkach opowiedział obszerniej. Łamigłówek wydrukujemy później troszkę, bo trudno raz po raz dawać też same nazwiska.

Sosenka z Dąbrowy nie odczytała zapewne z uwagą zadania konkursowego Kazia. Nie idzie tu bowiem wcale o podanie dokładnego życiorysu wybranego przez siebie znakomitego męża, tylko o zaznaczenie w krótkich a prostych słowach jego zasług i określenia, dla czego mianowicie daje mu się przed innymi pierwszeństwo. W łamigłówkach musiały być jakieś niedokładności, skoro nie były drukowane. Co do powieści, niech tylko Sosenka czeka cierpliwie i czyta uważnie, a wkrótce się przekona, że autorka Regiuki dotrzymała słowa. Komedyjkę jeszcze jedną zamieścimy w roku bieżącym.

Lodzia W. jak na swoje latka, bardzo ładnie liścik napisała, a co się nam najwięcej podobało, to, że tak starannie od początku do końca kreśliła literki i ani razu nie potrzebowała przymazywać tego, co napisała. Dobrze to jest, gdy dziewczynka od dzieciństwa nawyka do porządku. Bardzo to nas uradowało, że kochana Lodzia z zajęciem czytała świeżek Zosi. Niezadługo podamy wiadomość o nowych książeczkach, a z dawniejszych możemy polecić: „Nasi znajomi” przez Z. Morawską, „Podarek dla grzecznych dzieci” przez Teresę Jadwigę „Listki i Ziarnka” przez Zaleską.

Trawce z nad Granicy przesyła pozdrowienie Lodzia W. i prosi, aby od niej pogłaskała roztrofną Muchę. Piszę dalej Lodzia: „Ja mam także pieska, nazywa się Miluś i jest bardzo mądry, ale biedaczek na ulicy był przejechany i stracił oczko. Miałam także i ptaszka, ale pojechawszy na wieś wypuściłam go, bo do klatki, zawieszonj na werandzie, przyleciał drugi ptaszek i tak żałośnie oba do siebie świegotaly, że Babcia i Dziadzia radzili, aby go puścić. Żal mi go trochę było, ale on pewnie jest szczęśliwszy niż w klatce”.

I Trawka z nad Granicy i wszystkie dzieci pewnie pochwalą za to dobrą Lodzię, a my jej serdecznego przesyłamy całuska.

Kronika Rodzinna.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co **Wieczory** pismo dla rodzin, poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencye znakomitych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratory **Kroniki** otrzymać mogą po cenie zniżonj różne wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszłego 1886 otrzymywać będą w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem redakcyi ciekawe **PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIE-SKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.